ROZMAITOŚCI.

Dnia 13. lipca, Nr 28. roku 1844.

PIĘTNO.

W romantycznych belgijskich kąpielach Chaude Fontaine panowała powszechna radość; ku wielkiemu bowiem zadowoleniu gości, co się rzadko w takowém miejscu zdarza, odbyło się — wesele.

Julijusz Duvivier, porucznik w pułku francuzkich lansyjerów otrzymał w bitwie pod Salamanka ciężką ranę, która go zniewoliła opuścić swoję dywizyję w Hiszpanii i udać się na jakiś czas, dla odetchnienia świéżem powietrzem, w swoje ojczyste góry około miasta Liège. Przybywszy tamże, pozdrowiał niezadługo i miał już z Chaude Fontaine odjechać, gdy oto niespodzianie spotyka się z niejaką panną Hallière, która, rodem z Szwajcaryi, teraz u wód bawiła.

Wszystkim wiadomo, jak się łatwo znajomości u wód zawiązują; a że młody lansyjer wkrótce był tak szczęśliwym iż się z panną Hallière zapoznał; gdy oboje razem wycieczki po okolicy czyniąc, piękności natury podziwiali, i wolni od wszelkiego panującego w miastach przymusu, cały czas z sobą na rozmowach spędzali: — możemyż się dziwić, że się w pięknéj towarzyszce swojéj zakochał?«

Miłość jego była tak pomyślnie przyjęta, że w mniéj niż trzech tygodniach otrzymał przyrzeczenie jéj ręki. Panna Hallière niemając ani ojca, ani jakichbądź krewnych, nie miała powodu pytać nikogo, coby się mógł był przeciwić temu związkowi. Od wielu lat osiérocona i z małego żyjąc majątku, który jéj ojciec pozostawił, nie miała powodu namyślać się długo, wysłuchała namiętnych przysiąg naszego bohatéra i została jego narzeczoną.

Podczas ich zaręczenia nie obeszło się bez tego, aby się nie znalazło wiele osób, które wszelkiémi sposobami małżeństwo to rozchwiać chciały. Pewna mądra owdowiała margrabina, bez grosza ale obdarzona sześcią szkaradnémi córkami, szeptała młodemu łansyjerowi do ucha, aby nim się jeszcze bardziéj skompromituje, dowiedział się przynajmniéj, kto i zkąd ta dziewczyna.

Jakaś inna przyjaciółka zrobiła to bystre dostrzeżenie, iż panna Hallière zawsze wysoko zachodzące suknie nosi, aby zakryć ślady pewnéj choroby, dla któréj wyleczenia, zjechała niezawodnie do kąpiel.

Ktoś inny, jakiś zalotnik który dostał odkosza, zapewniał na honor, że panna Hallière jest wdową, a jéj nazwisko przybrane tylko.

Julijusz jednak nie zważał nato, naśmiéwał się z tych domysłów i kochał Maryję tém bardziéj dla téj zawiści, którą umiała swémi przymiotami obudzić. Życzył sobie wprawdzie czasami, aby o swojéj przeszłości w mniéj nieco niepewnych mówiła słowach, i zamierzał często spytać ją o to wyraźnie; ale skoro się znowu zeszli, zapomniał o tém natychmiast, sądząc w swoim rycérskim duchu, iżby to było krzywdzącą niesłusznością nieufać téj szczérocie i niewinności, które z jéj oblicza przemawiały.

Skutek tego wszystkiego ledwie potrzebuje być napomknionym. Tego samego ranka, kiedy nasza powieść zaczyna, została piękna Maryja małżonką szczęśliwego Julijusza, który po sutém śniadaniu, daném mu przez jego przyjacioł, wyjechał z nią w najweselszym humorze do zamku swojego wuja koło Bruges, aby spędzając kilka dni na podróży, użyć tego całego czasu w nieprzerwaném towarzystwie z swoją młodą żoną.

Około dwunastéj godziny piątego dnia przybyli nowożeńcy do Bruges, nie zwiedziwszy nawet po drodze wiele osobliwości, a to jedynie dla tego, aby tylko stanąć czém prędzéj u poczciwego staruszka wuja, który ich z niecierpliwością oczekiwał, a którego zamek niedaleko stolicy zachodniéj Flandryi leżał.

W Bruges wysiedli w jednym z hotelów, zamyślając udać się dopiéro po południu do swego wuja. Dla oszczędzenia czasu postanowili zjeść obiad przy *table d'hôte.*

Była już chwila po zadzwonieniu do stołu, gdy Julijusz swoję żonę po ukończonéj toalecie wprowadził do jadalnéj sali, w któréj już zdaleka brzęk widelców i nożów usłyszeli.

Wstąpiwszy do sali zastali towarzystwo blisko czterdziestu osób, które ledwie spojrzały na wchodzących. We Francyi byłoby się w podobnym razie z pewnością kilkunastu grzecznych mężczyzn zerwało, aby ustąpić damie swojego miejsca. W Belgii dzieje się wcale inaczéj: każdy szuka sobie najlepszego miejsca i najlepszego półmiska, i niedba o nic więcéj.

Na nieszczęście przyszło młodéj parze rozłączyć się koniecznie: zostały tylko dwa próżne krzesła, i te były znacznie od siebie oddalone; a dla tém większéj przykrości rozłączenia, znajdowały się te krzesła po téjże saméj stronie długiego stołu, że ani na siebie spojrzéć, ani téż słowa do siebie przemówić nie mogli.

Będąc jednak wszystkim obecnym nieznajomymi, usiedli do stołu z tą w sercu pociechą, że ich rozłączenie nie dłużéj jak godzinę potrwa, poczém będą sobie mogli wynagrodzić serdecznemi pieszczotami to krótkie umartwienie. Ztémwszystkiém był biédny Julijusz zanadto zakochanym aby mógł siedziéć z filozoficzną spokojnością i jeść obiad z zwyczajnym apetytem. Oczy jego błąkały się po wszystkich przy stole siedzących gościach, aż wreszcie spoczęły z zadziwieniem na siedzącym tuż naprzeciw niego sąsiedzie, który złożywszy nóż i widelce, nieustannie patrzył na Maryję. Z początku mniemał Julijusz, że to się dzieje przypadkiem, że go jakieś podobieństwo uderza, lub że może ma zawsze zwyczaj wytrzeszczania oczu na przystojne kobiéty. Lecz wzrok jego był nieporuszenie wlepiony w piękną Maryję, a młody jéj małżonek bynajmniéj z tego cieszyć się nie mógł.

Każdy mężczyzna z natury swojéj jest zazdrośnym, i niewierzę żadnemu, któryby się tego zapiérał, ani téż zaprzeczać można, iżby podobne uczucia nie powstały teraz w piersi młodego porucznika, którego ciągłe wpatrywanie się sąsiada, na tę myśl koniecznie sprowadzić musiało: że on już dawniéj znał jego młodą żonę. Zaczém po niedługim namyśle zdało mu się już bardzo prawdopodobném, że to jest jakiś dawny kochanek, przyjaciel lub coś podobnego. Byłato straszna myśl dla niego. Przedsięwziął sobie tedy natychmiast wyjaśnić wątpliwość swoję; wszczął jakby od niechcenia rozmowę z owym panem, i zapytał go z pozorną obojętnością:

»Pan zdajesz się znać owę damę?«

»Tak jest,« odrzekł sąsiad zachmurzony, »zdaje mi się, ba, co mówię, jestem nawet pewny, że ją znam.«

Ta odpowiedź nie zaspokoiła bynajmniéj niecierpliwego młodego żołniérza; tém bardziéj, że obcy znowu się wpatrzył w jego żonę.

Niéma nic nieprzyjemniejszego jak otrzymać niedokładną odpowiedź i być zmuszonym kryć w sobie niepewne podejrzenie. Julijusz nie mógł tego znieść dłużéj i zapytał powtórnie swego sąsiada:

»Jestżeś pan przekonanym, żeś kiedy dawniéj widział tę damę?«

»Tak przekonanym, jak o tém, że żyję i z panem mówię. Ja nie zapominam nigdy rysów twarzy, które'm raz tylko w życiu widział. Jestto ona sama; niepodobna abym się mylił.«

»To dziwna! I gdzieżeś pan znał tę damę?« To mówiąc, uczuł Julijusz, że jego szczęście od tego pytania zawisło.«

»Niech będą dzięki Bogu, że jéj nigdy nie znałem;« odrzekł nieznajomy pospiesznie i ze wstrętem.

Byłato rzeczywiście dziwna odpowiedź. Małżonek nie wiedział, jak ją miał sobie tłumaczyć.

Odpowiedź ta uwolniła go wprawdzie za jednym razem od wszelkiéj zazdrości,

ale wtomiast ujrzał w téj odpowiedzi straszną tajemnicę ukrytą. Im bardziéj zagłębiał się w myśli, tém mniéj wiedział coby to miało znaczyć. Postanowił więc, raz jeszcze się zapytać:

»Moja ciekawość, jak się zdaje, obudziła w panu nieprzyjemne wspomnienia. Niemógłżebyś mi dać o tém bliższą wiadomość?«

»Jeźli pan sobie tego koniecznie życzysz — skłonię się do woli jego; chociaż się przyznam, że nie lubię mówić o tym przedmiocie, zwłaszcza gdy dotycząca się osoba jest tu jeszcze obecną.«

Tą odpowiedzią, chociaż go śmiertelna trwoga ogarnęła, musiał się biédny Julijusz tymczasem zaspokoić. Na szczęście jego powstało syte już towarzystwo od stołu. Zacni obywatele miasta Bruges dobrym obiadem zadowoleni, porozchodzili się jeden po drugim; lecz Maryja czekając na męża, siedziała jeszcze przy stole. Niepostrzeżenie dał jéj Julijusz znak aby wyszła. Ona uczyniła zadość jego woli, a wkrótce został się porucznik sam na sam z swoim nieznajomym sąsiadem.

»Teraz,« wszczął Julijusz rozmowę, »nie odmówisz mi pan swojego objaśnienia.«

Nieznajomy milczał przez chwilę, a potém odpowiedział témi słowy: »Może źle czynię, zaspakajając w ten sposób ciekawość człowieka, którego nie znam, — témbardziéj gdy panu powiem, że to, czego się odemnie dowiedzieć domagasz, charakter téj pani, która nas właśnie opuściła, w najczerniejszém wystawi świetle.«

Żaden cios śmiertelny nie byłby straszniéj przeraził Julijusza, jak podobna odpowiedź. Zaledwie był w stanie przemódz swoje okropne wzruszenie, gdy z sardonicznym prawie uśmiechem przemówił do nieznajomego: »Możeś pan był jéj kochankiem?«

»Niech mię Bóg od tego zachowa!« odparł tenże. »Moja powieść nie jest wcale wymyślonym romansem. Opowiém panu rzecz całą jak najkróciéj. — Miałem ja bardzo zacnego przyjaciela nazwiskiem Wiktor Rossaert. Od młodu razem wychowani, byliśmy z sobą w najpoufniejszéj zażyłości. Nieszczęście chciało, że dla ważnych sprawunków musiał się Wiktor udać w podróż do Genewy. Tam poznał córkę pewnego kupca, Adelaidę Moran, któréj czarowne wdzięki i piękność, podbiły serce mojego młodego przyjaciela tak dalece, iż mi wkrótce z radością doniósł, że jest szczęśliwym narzeczonym i niezadługo ma się żenić.«

»Nie widzę jednak w istocie,« przerwał Julijusz z niecierpliwością, »co to ma za związek z tą damą, o któréj tu mowa.«

»I bardzo bliski, jak się pan zaraz dowiész. Przypadkiem doszła Wiktora przez jednego z dawniejszych zalotników jego narzeczonéj niespodziana wiadomość, iż ta, którą dotąd miał za najzacniejszą i za najniewinniejszą, dawno już swoję dobrą sławę straciła. Ta myśl zamieniła w rozpacz i obłąkanie całe jego przyszłe życie, ale honor wymagał ofiary, a nieszczęśliwy młodzieniec, mimo boleść zakrwawionego serca, widział się zmuszonym napisać list z tém oświadczeniem: że się o jéj występku dowiedział i stale postanowił, nigdy się z nią odtąd już nie widzieć więcéj. Poczém zamieszkał u swoich przyjacioł w Dyżonie, dokąd wkrótce za nim i Adelaida przybyła; a gdy przez niejaki czas nadaremne jéj usiłowania były aby się z nią zaślubił, zaniechała nagle swojego zamysłu i prosiła go tylko, ażeby jéj przynajmniéj pozwolił zwać się jego przyjaciółką. W takichto przyjacielskich stosunkach odwidzała go w ciągu kilku tygodni. Tymczasem zaczął Wiktor podupadać na zdrowiu i stawał się coraz słabszym. Napróżno starała się go Adelaida rozweselać; stan jego zdrowia pogorszał się z dniem każdym, a wkrótce przed swoim skonem napisał do mnie. Wyjechałem natychmiast, lecz niestety, byłoto już zapóźno! Przybyłem na pogrzeb mojego przyjaciela. Po dokonanéj lekarskiéj obdukcyi, pokazało się, że umarł na powolną ale mocną truciznę! Podejrzenie padło na Adelaidę Moran; została wzięta pod śledztwo; nie chciała jednak ani zaprzeczać ani się przyznać. A że nie było dostatecznych dowodów oskarżenia o zabójstwo, więc ją pociągniono przed podrzędny trybunał i zadano jéj ten występek: że wymogła na nim testament, którym jak się zdawało, cały swój majątek jéj zapisał. Oto więc wytoczyła się sprawa, a Adelaida została za winną uznana. Łagodzące jednakże okoliczności wyratowały ją od u-

więzienia na galerach; była tylko skazaną na stanie pod pręgierzem i otrzymanie piętna zbrodniarzy. Wyrok ten został właśnie tego samego dnia wykonany, gdym przybył do Dyżonu. Z odrazą postrzegłem tę miłą lecz zbrodniczą kobiétę, stojącą tuż przy szafocie. Wyobraź pan sobie tedy moje zdziwienie, gdym ją dzisiaj siedzącą na owém krześle ujrzał!«

Julijusz wzdrygnął się cały; oczy jego błysnęły wściekłym ogniem; zbliżył się do opowiadającego i rzekł: »Pan się mylisz. Ta dama nie nazywa się Moran. Powiedz pan że się mylisz, — albo mógłbyś najstraszniejszych skutków stać się przyczyną.«

»Wszystko com powiedział jest prawdą; zaręczam za to. Ale zkąd ta trwoga?«

»Proszę tu zaczekać tylko pięć minut, a dowiesz się pan o wszystkiém.«

Po upływie tego czasu, został nieznajomy wezwany do pokoju młodego porucznika. Udał się tam natychmiast i wstąpił obojętnie do salonu, gdzie mu Julijusz krzesło wskazał; poczém zamknął drzwi i schował klucz do kieszeni. To zaczęło nieznajomego cokolwiek niepokoić. Na stole leżało coś chustką zakrytego, obok tego widać było świéżo zapisaną kartkę papiéru i więcéj innych mniéj ważnych rzeczy. Przeciwległe drzwi salonu prowadziły do sypialnego pokoju, ale były zamknięte.

W téj chwili zdawał się Julijusz zupełnie znów być przytomnym; mówił z największą spokojnością i podniósł chustkę, zpod któréj dwa piękne pistolety błysnęły. »Patrz pan,« rzecze do swego gościa, »albo pan zginiesz, albo ja. Kobiéta o któréj mi mówiłeś, jest moją żoną. Jeżeliś skłamał, umrzesz z mojéj ręki. Jeżeli zaś — « a głos Julijusza stał się przerażającym, »jeżeli zaś prawdę mówiłeś — przysięgam ci na Boga — wyjdziesz ztąd bezpieczny. Nie mów mi ani słowa!«

To wyrzekłszy zbliżył się Duvivier ku owym drzwiom, otworzył je i wprowadził niemi swoją żonę, która bardzo się tém zdziwioną być wydawała.

»Proszę panią odkryć natychmiast swe ramiona.«

Biédna Maryja ztrwożona, nie mając wcale ochoty rozbiérać się przed nieznajomym, wzbraniała się różnémi wymówkami.

»Słyszałaś pani,« powtórzył Julijusz surowo. — »Tak chcę, więc ani słowa!«

»Na kolanach zaklinam cię mój mężu — wytłumacz mi co to znaczy —«

»Nie chcesz — lękasz się? Sam tedy obaczę czy to prawda!« To rzekłszy odsunął rękaw jéj sukni aż po ramiona.

Dość było jednego rzutu oka. Nieszczęsne piętno hańby było tam wyraźnie wyciśnięte!

Julijusz zebrał całą swoję oziębłość. Lekki uśmiech obiegł jego usta. Wyjął klucz i rzucił go przed swego gościa.

»Odejdź czemprędzej. Lepiéj byłoby zapewne, gdybyś nie mógł nikomu więcéj powtarzać téj strasznéj wieści, lecz dałem ci moje słowo i dotrzymam. Odejdź czémprędzéj.«

Przelękniony nieznajomy wybiegł natychmiast z pokoju i chciał wołać na ratunek, lecz zaledwie był na ostatnim stopniu schodów, już usłyszał wystrzał, a nim zdołał krzyknąć na ludzi — już padł drugi.

Na ten huk broni powstał rozruch, w domu, wbiegło gospodarstwo, czeladź, sąsiedzi, i ujrzeli — okropną scenę!

Duvivier przestrzelił swojej niegdyś kochance na wskróś serce. Ciepła jéj krew płynęła jeszcze na białą suknię. Jakkolwiek mogła być winną, niepodobna było odmówić jéj politowania.

On sam włożył sobie pistolet w usta i roztrzaskał wierzchnią część głowy. Okropnie było patrzyć na tego człowieka — który zbyt za porywczo się pomścił!

*

Należy tu jeszcze dodać, iż cała ta powieść jest rzeczywistą prawdą; imiona tylko są w niéj zmyślone. Ow biédny nieznajomy mieszczanin brugski nigdy już się odtąd nie roześmiał. Smutniejszym jednak staje się ten wypadek przezto, że się później wykryło, iż Wiktor w skutek wyrzutów sumienia sam się otruł; niesłusznie bowiem posądził był Adelaidę Moran. Niewinnie wówczas poniosła najsroższą hańbę, niewinnie równie teraz umarła. Całém jéj przewinieniem było, iż nie była szczérą dla

swego męża, i że mu wszystkiego wprzód sama nie wyznała.

Śmierć wielkiego chirurga.

Dupuytren pracował nieustannie. W zimie i w lecie wstawał zawsze o 5. godzinie z rana. O 7. godzinie szedł już do szpitalu *Hotel-Dieu*, który dopiero o 11. godzinie opuszczał, aby zwidził swoich chorych po mieście, a potém powróciwszy do domu, przyjmował na konzultacyję słabych u siebie. Liczba chorych, którzy do niego do domu przychodzili, powiększała się z dniem każdym, a chociaż ich z grubiańskim prawie pośpiechem odprawiał, jednakże konzultacyja trwała często aż do późnéj nocy.

Jednego wieczora, gdy był całodzienną pracą bardzo znużony i właśnie sobie trochę odpocząć zamyślił, nadszedł jeszcze jakiś spóźniony pacyjent. Dupuytren spojrzał nań z niechęcią. Byłto staruszek, małego wzrostu ale przyjemnego wejrzenia. Jego spokojne, dobroduszne oblicze miało w sobie coś ujmującego; byłato owa miła fizyjonomija, która mimowolnie pociąga ku sobie. Skłonił się nisko i oczekiwał nieśmiało aż doktor doń przemówi. — »Cóż wpanu jest?« ofuknął go Dupuytren. — »Panie konsylijarzu,« odezwał się pacyjent, »proszę mi pozwolić usiąść i odpocząć trochę, moje biédne nogi już cokolwiek za stare. Jestem proboszczem w *** koło Nemours. Przed dwoma laty, nabiegła mi jakaś puchlina na szyi. Wiejski nasz lekarz mówił zrazu że to nic niebezpiecznego; wszakże cierpienie moje pogorszało się coraz bardziéj, a po pięciu miesięcach zrobiła się bolączka, która sama się rozpękła. Leżałem długo w łóżku, lecz to nic nie pomogło. Późniéj zadałem sobie przymus i wstawałem, gdyż niémam żadnego wikarego, a muszę w czterech kościołach miéć nabożeństwo....« — »Pokaż mi wpan szyję,« przerwwał Dupuytren. — »Moi parafianie,« mówił ksiądz daléj, odsłaniając szyję — »oświadczyli się wprawdzie, że chcą się co niedzieli do jednego kościoła schodzić, aby mi służbę ułatwić; lecz mają tyle pracy przez cały tydzień i ledwie w niedzielę odpocząć mogą. Dlatego pomyślałem sobie: niesłusznie jest, aby sobie tyle ludzi przez ciebie spoczynku odmawiało. Nareszcie poradzono mi udać się do Paryża i pańskiéj rady zasięgnąć. Długo się namyślałem, bo podróż wiele kosztuje, a ja mam wielu ubogich w mojéj parafii. Nakoniec jednakże musiałem dać się namówić; przyjechałem tu do Paryża, a co się z moją słabością dzieje, sam to wpan najlepiéj poznasz.« Dupuytren przez długą chwilę patrzył ostro w szyję. Cierpienie było tak wielkie, że się dziwił, jak chory mógł to wytrzymać.— »Księże proboszczu,« rzekł po chwili stanowczym głosem. »Tu niéma rady, musisz na to umrzéć.« — Pleban obwinął spokojnie znowu szyję i nie rzekł ani słowa. Dupuytren wpatrzył się w niego przenikającym wzrokiem,— proboszcz wyjął z kieszeni pięć franków, położył pieniądze na kominku i rzekł: »Nie jestem bogatym a moi parafijanie są bardzo ubogimi panie konsylijarzu. Przebacz jeźli nie jestem w stanie zapłacić więcéj za konzultacyję doktora Dupuytren.— Dziękuję Bogu, żem się pana poradził, bo teraz przynajmniéj, nie umrę bez przygotowania. Mógłeś mi pan może z większą cokolwiek ostrożnością oświadczyć tę ważną wiadomość, mam bowiem lat sześćdziesiąt i pięć, a w moim wieku bywa się czasem bardzo przywiązanym do życia. Ale niémam przeto żalu do pana. Nie przeraziłeś mię tą nowiną, byłem na nią przygotowanym. Bywaj mi zdrów panie konsylijarzu; wracam do mojéj gminy, chcę w pośród niéj umrzéć.« — To rzekłszy wyszedł zwolna z pokoju. Dupuytren stał zamyślony. Zdziwiło go zapewne, że słaby, cierpiący starzec miał tak mocną wolę i tyle nadzwyczaj silnego ducha. Wybiegł za nim. Pleban zchodził wolnym krokiem po schodach. »Księże proboszczu!« zawołał. »Bądź tak grzeczny i chciéj się wrócić!« — Proboszcz się wrócił. — »Znalazłby się może jeszcze sposób ocalenia wpana, gdybyś się pozwolił operować.« — »O mój Boże! Panie konsylijarzu,« odrzekł z radością pleban, »wszakże po to umyślnie przyjechałem do Paryża. Operuj wpan, ile mu się podoba« — »Ale może będziem probować nadaremnie, a na każdy wypadek potrwa to długo i sprawi wielkie boleści.« — »Operuj tylko panie konsylijarzu w imię boskie. Wytrzymam ja to jeszcze. Moi biédni parafijanie, jakżeby się oni z mego uzdrowienia cieszyli!« — »Więc dobrze, udaj się wpan do *Hotel-Dieu*, do sali św. Agnieszki. Nie będzie tam wpanu na niczém zbywać, a miłosierne siostry będą go troskliwie pielęgnowały Dziś i jutro odpoczniesz sobie wpan, — a pozajutro...« — »Dobrze panie konsylijarzu, dziękuję ci serdecznie.«

Dupuytren napisał kilka słów na karteczce, którą oddał proboszczowi. Ten udał się z nią do szpitalu, gdzie na polecenie Dupuytrena został z większą niż zwykle przyjęty starannością. Poczciwy starzec nie mógł się dość nadziękować.

Na trzeci dzień, — zaledwie się wszyscy 500 do 600 słuchaczy kliniki zgromadzili, wszedł Dupuytren nadspodziw wcześnie do sali. Zaczęła się operacyja. Trwała blisko pół godziny

i była bardzo bolesną; jedna część szczęki okazała się nadpsutą i musiała być odjęta. Proboszcz najmniejszego nie wydał jęku; dopiéro gdy mu Dupuytren powiedział, że już się operacyja skończyła, pobladła mu twarz śmiertelnie. Dupuytren sam go obwiązał. »Mam nadzieję,« rzekł do pacyjenta, »że będzie wszystko dobrze; mocnoś pan cierpiał?« — »Starałem się myśléć o czém inném,« odrzekł proboszcz. — Dupuytren spoglądał długo na niego; potemu rozpoczęła się godzina kliniki. —

Pleban ocalał. Dupuytren każdego poranku wstąpiwszy do sali, mijał przeciw swojemu zwyczajowi, piérwsze łóżka ode drzwi, aby od niego zacząć. Gdy pacyjent już wstał z łóżka, wziął go Dupuytren ku wielkiemu zdziwieniu swoich słuchaczy pod ramię i przechadzał się z nim zwolna po sali. Nikt nie umiał sobie wytłumaczyć téj uprzejmości Dupuytrena, który się zwykle obchodził bardzo przykro ze swymi pacyjentami.

Po powrocie plebana do swojéj gminy, długi już czas był upłynął, gdy Dupuytren raz wchodząc do sali św. Agnieszki, postrzegł znowu poczciwego staruszka. Dźwigał on duży kosz na ramieniu, a trzewiki miał oprószone, jakby po długiéj pieszéj podróży. Dupuytren powitał go uprzejmie, dowiadywał się, czy operacyja jakich złych skutków nie miała i spytał wreszcie co go do Paryża sprowadziło. — »Panie konsylijarzu,« rzekł pleban, »dzisto rok, jakeś mię operował. Nie chciałem opuścić szóstego maja, nie odwidziwszy wpana; a przytém, pomyślałem sobie, godziłoby się przynieść panu jaki podarek. Jestto wprawdzie drobnostka, ale ją szczéra wdzięczność daje. Tu w tym koszu znajdują się dwie kury z mego kurnika i gruszki z mego ogrodu; gruszki jakich wpan w Paryżu nie dostaniesz. Musisz mi więc przyrzéc, że je skosztujesz; nie prawdaż?«

Dupuytren uścisnął go za rękę i zaprosił na obiad, lecz proboszcz nie mógł tego zaproszenia przyjąć, chociaż mu żal bardzo było. Jego chwile były wszystkie najściśléj obliczone; musiał wracać do wioski.

Jeszcze przez dwa lata widywał Dupuytren zacnego starca w dzień 6. maja, w sali świętéj Agnieszki, zawsze, jak się rozumie, z kurami i gruszkami. Dziwne jakieś wzruszenie przejmowało zawsze lekarza na jego widok.

Około tychto czasów doznał Dupuytren piérwszych napadów owéj choroby, któréj i sztuka jego pokonać nie mogła. Wyjechał do Włoch i wrócił w marcu 1834 bez widocznego polepszenia. Jakkolwiek inni lekarze go pocieszali, Dupuytren wiedział dobrze, że już do zdrowia nie przyjdzie. W miarę jak się chwila jego zgonu zbliżała, stawał się coraz bardziéj ponurym i milczącym. Być może, iż mu w tych jego ostatnich chwilach ciężyła na umyśle owa moralna samotność, którą się sam był otoczył. Jednego poranku przywołał swojego przybranego syna i podyktował mu list następujący:

»Do pana..., proboszcza w.., Nemours (Somme.)
»Mój drogi przyjacielu! Lekarzowi potrzeba księ»dza. Przybywaj spiesznie; przybędziesz może »za późno. Dupuytren.«

Proboszcz przybył natychmiast. Dupuytren zamknął się z nim sam na sam. Długo tak zostawali. Co jednak tam mówili, pokryte tajemnicą; tylko gdy proboszcz wyszedł z pokoju umierającego, widziano łzy w jego oczach, a wyraz uroczystéj nabożności na jego obliczu. Nazajutrz kazał Dupuytren — ów wolnomyślący Dupuytren — prosić paryzkiego arcybiskupa do siebie. Byłoto dnia 8. lutego 1835; w kilka godzin poźniéj — już nieżył.

Gdy po skończoném nabożeństwie uczniowie wzięli trumnę na ramiona i nieśli ją na cmentarz, widać było jakiegoś starego duchownego, postępującego z płaczem śród pogrzebowego tłumu.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* pod redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 28. i obejmuje: 1) Jak najlepiej robić siano, i na co uważać należy w przechowaniu onego? 2) Paproć jako roślina najskuteczniejsza do wyciągnienia kwasu z mléczniaków (garnków do zléwania mleka przeznaczonych). (Nadesłane.) 3) O parzonce pana Kirchhofa. (Dokończenie.) 4) Niektóre wiadomości gospodarskie. 5) Niektóre uwagi nad uprawą i zbiorem koniczyny. 6) Cukier z kukurudzy. 7) Pewne lekarstwo na biegunkę u cieląt. Przez F. Drubiga. 8) O leczeniu zwierząt homeopatycznym sposobem. 9) O myciu wełny za pomocą sikawek. 10) Odpowiedź na prośbę młodego gospodarza o udzielenie rysunku i opisania, jak należy cyganki stawiać.

Rozmaitości dla ludu wiejskiego przez Juliję Goczałkowską. Cztéry części. Lwów 1843, — nakładem Jana Milikowskiego. — To dzieło zawiera: Wykład nauki religii, rozprawy o gospodarstwie zastosowane do możności i metody rolniczéj naszego wieśniaka, pieśni nabożne, żywoty świętych, powieści, krótki rys jeografii, rady lekarskie, gry, zagadki, pieśni gminne. — Winniśmy wdzięczność autorce za wzbogacenie literatury naszéj i za pracę, któréj zaletą jest: zupełność w zbiorze, styl poprawny, — obrobienie przedmiotu w sposób każdemu przystępny i do rozwinięcia władz umysłowych prostego ludu ze wszech miar szczęśliwie utrafiony. Szczególnie szkółkom wiejskim warto jest polecić to dzieło. Dotąd wyszły dwie części; reszta jest w druku i będzie niebawem gotowa. *

Nowości z Paryża. Liczba cudzoziemców na wystawę przemysłowości przybyłych, staje się z każdym

dniem mniejszą. Zamiast uduszającego natłoku składają teraz Paryżanie i pozostali cudzoziemcy towarzystwo, gdzie każdemu podług upodobania wolno się bawić, rozmawiać i czynić postrzeżenia, które często bardzo zajmujące a czasem i zyskowne bywają. Co pod témi zyskownemi postrzeżeniami rozumiemy, okaże następujący wypadek. Pewien pisarz romansów spotkał na bulwarach przyjaciela, który go chciał zatrzymać. »Niepodobna, mój kochany!« odpowiada romantyk. »Znajduję się właśnie w towarzystwie, którego nie mogę opuścić.« — »Jakto!« woła tamten zdziwiony. »Więc znasz te panieńskie oryginały i te wyfrakowane dziwołągi, które tak hardo przy nich się kryguja?« — »Czy je znam!« odpowie autor, zacierając sobie z radością ręce. »Jestto nieoceniony przedmiot do odportretowania! Rodzina z siedmiu oryginałów, które pod mój pezel biorę. Od czternastu dni ani na krok ich nie odstępuję; nie mało zadałem sobie trudu, ale ten mi się hojnie wypłaci. Tak jest, ta cała rodzina z duszą i ciałem jest moją; sprzedałem ją; wyjdzie najprzód w trzydziestu przynajmniéj feuilletonach a potém w dwóch wielkich tomach w ósemce.« — Nie wszyscy wprawdzie postrzegacze prowadzą taki handel swémi postrzeżeniami; największa część uważa obcych dla swojéj osobistéj rozrywki. Najlepszém zaś miejscem do robienia podobnych uwag są opróżnione teraz nieco restauracyje. Sławny gastronom Brillat-Savarin miał słuszność, mówiąc: »Powiedz mi co jesz, a ja ci powiém kto jesteś.« Żaden filozof nie wyrzekł jeszcze prawdziwszego zdania. Obiad jest nieomylnym probierczym kamieniem do poznania ludzi, ich charakteru, ich stanu, ich smaku. Domyślny postrzegacz umie zaraz po sposobie z jakim kto wstępuje do obiadowéj sali, i z tego, w jaki obiera sobie miejsce, zawiesza swój kapelusz, siada i woła posługacza — wyrzec do którego rzędu ma go policzyć. Po potrawach które wybiéra, poznaje czy jest bogatym czy ubogim, skąpym albo rozrzutnym, czy ma delikatne albo tępe nerwy podniebieniowe. Sposób jedzenia i picia zdradza nie tylko jego wychowanie i ukształcenie, ale nawet jego stopień towarzyski, umysłowe usposobienie, jego konnexyje, jego widoki i zamiary; — wszystko to można odgadnąć przy obiedzie. Najdokładniejszą jednak oznaką jego stanu i życia jest wyraz, jakiego przy płaceniu używa. Młody utraciusz, który nawykł mówić ze swymi dłużnikami, pyta: *»Co jestem winien?«* — Spekulant giełdowy woła: *»Garçon mon addition!«* Gracz, jeograf, podróżnik, każe sobie dać: *»Kartę!«* — Muzyk i dyplomata: *»Notę!«* Kupiec albo fabrykant: *»Rachunek!«* Niektórzy z tych ostatnich zapominają się nawet tak dalece iż żądają: *»faktury!«* gdy tymczasem jaki dandys niższego rzędu każe sobie w swojéj nieznośnéj anglomanii *»bill«* przedłożyć. Podobne postrzeżenia rzadko kiedy zawodzą; lecz u gości przybywających z prowincyi i obiadujących w publicznéj restauracyi są te charakterystyczne rysy daleko jeszcze liczniejsze i wydatniejsze. Brillat-Savarin mógł był równie sprawiedliwie powiedzieć: »Powiedz mi co jész, a powiém ci *z którego departamentu jesteś.«*

Dochód autorów dramatycznych za granicą. W Anglii niema prawem wyznaczonych nadgród dla autorów dramatycznych. Londyński teatr Coventgarden płaci 100 funt. szterl. (4000 złp.) przy trzeciém, 100 przy szóstém, 100 przy dziewiątém i 100 przy czterdziestém przedstawieniu jakiéj sztuki; najwyższa nadgroda jaką dotąd otrzymał poeta, wynosiła 900 funt. szterl. (36000 złp.) W operach kompozytor nic nie otrzymuje za partyturę tylko poeta za libretto. Jednemu tylko Weberowi zapłacono 500 funt. szterl. za *Oberona*. Drugi teatr londyński Drurylane płaci za każde przedstawienie do dziewiątego włącznie po 33 funt. szterl., a po dwudziestym 100 funt. szterl. otrzymuje jeszcze autor. Mniejsze teatra płacą rozmaicie. We Francyi od dawna najlepiéj wynadgradzają autorów i od dawna istnieją tam prawne przepisy, wyznaczające nadgrodę poecie. Już trupa Moliera płaciła Kornelowi po 2000 franków za sztukę. Teraz zaś każdy teatr winien oddawać pewną oznaczoną część dochodu (*tantième*); tylko teatr wielkiéj opery i *comédie française* w Paryżu płacą stale po 500 fr. za każdą reprezentacyję do dwudziestéj włącznie, od téj zaś autor otrzymuje za każde przedstawienie po 300 fr. Wyrachowano, że w Paryżu autorowie dramatyczni pobierają rocznie tantjemy 800,000 franków a na prowincyi 200,000, razem więc w całéj Francyi około 1.000,000 franków. Z list urzędowych pokazuje się naprzykład że Delavigne otrzymał za Szkołę starców po 149 przedstawieniach 36,822 fr., Scribe za Szklankę wody po 116 przedstawieniach 24,609 fr., Wiktor Hugo za Hernaniego po 72 przedstawieniach 14,075 fr. Do tego dodać należy nadgrody otrzymywane od prowincyjonalnych teatrów. Wyrachowano, że Delavigne za Szkołę starców otrzymał w ten sposób przeszło 60,000 fr. Nawet autorowie librettów do oper podobnie wielkie zapłaty otrzymują, i tak Scribe za libretto do Roberta diabła, po 250 przedstawieniach otrzymał, przeszło 100,000 franków.

Zbytnia taniość w dawnych czasach nie była właściwie niczém innem jak tylko niedostatkiem, a więc drożyzną szlachetnych kruszców; ztemwszystkiém zdają się nam dawne wiadomości o cenach ziemiopłodów jeszcze w 15. wieku, istotnemi bajkami. W czasie założenia uniwersytetu w Lipsku, to jest roku 1409, kosztował funt mięsa 4 szelągi, miara żyta 3—5 groszy, para trzewików 6 groszy, garniec wina 6 szelągów a garniec piwa 3 albo 4 szelągi. W 13. i 14. wieku nie wiedziano jeszcze nic o talarach lub złotych; wszystko rachowano na grosze, a przy większych cenach na kopy; kopa liczyła 20 groszy. Grosze dzielono znowu na 12 szelągów, szelągi na 2 mniejsze pół-szelążki, a półszelążki na drobniejsze jeszcze, i było wiele towarów które można było kupić za szelągi i szelążki. Można było tedy posyłając sługę do miasta powiedzieć: »Oto masz grosz, idź do miasta, kup za to krzesiwo, hubki, zgrzebło, i powróz, każ podkuć konia, napij się piwa i przynieś mi resztę.

Jenerał Avitabile. Niedawno temu przybył do Neapolu człowiek, który najdziwniejszych losów doświadczył. — W roku 1810 przyprowadzono go do Neapolu jako rekruta i oddano do artyleryi. Po kilku latach postąpił on na sierżanta; gdy jednak w armii neapolitańskiéj zaszły zmiany a on miał być przydzielonym do innéj broni, nie podobało mu się to i opuścił Europę. Zrazu chciał się udać do Egiptu; lecz w drodze został burzą zagnany na wybrzeża afrykańskie, do Bony, gdzie spotkał pewnego zegarmistrza z Francyi, który mu poradził aby poszedł do Persyi. Nasz wychodźca usłuchał rady i udał się w roku 1818 do pomienionego kraju. Teraz powrócił do Europy i przywiózł z sobą kosztowne dary dla królowéj francuzkiéj, dla królowéj Anglii, dla króla i królowéj Neapolu, za co został obdarzony orderem (już siódmym) i tabakierą wartości 40,000 zł. pol. Oprócz tego posiada on w swoim pularesie 10 millijonów franków i podobne inne drobnostki. Ubogi sierżant jest teraz bogatym jenerałem Avitabile, którego imię (jako jednego z jenerałów Rundszit-Singha) było tyle razy wspominane w Europie. W téj chwili znajduje się on w swojém

rodzinnem mieście, otoczony od dwudziestu synowców, którzy będąc jeszcze po części lub całkiem wieśniakami, przysłuchują się z zadziwieniem opowiadaniom stryja. Szkoda tylko że im opowiada je w języku, który nieco zamieszanie babilońskiej wieży przypomina, gdyż ani Persyja ani Indyja nie były stosownem miejscem, gdzieby Avitabile mógł był swój ojczysty język wykształcić.

Środek przeciw wściekliźnie. Rossyjskie ministerstwo spraw wewnętrznych ogłosiło środek przeciw wściekliźnie, który jest bardzo prosty i pewny. Lekarstwem tém jest rodzaj euforbii *(euph. villosa et palustris)*. Dziennik ministerstwa spraw wewnętrznych zawiera opis kilku takich wyleczeń. Pierwszy wypadek zdarzył się na Podolu, gdzie wilk wściekły sześcioro ludzi pokąsał; pięcioro z nich wyszło; jeden tylko człowiek, i to najbardziéj pokaléczony, umarł. Innym razem, pokąsał kot wściekły w gubernii kijowskiéj czworo dorosłych ludzi i jedno dziecko. Jedna z dorosłych osób była leczona zwykłym sposobem i umarła, resztę ocalono euforbiją. Przy leczeniu postępuje się w sposób następujący: Najprzód wypieka się rozżarzoną igłą krosty, nabiegające pod językiem u chorych; potém płucze się powstające ztąd w ustach małe rany odwarem z euforbii, i daje się wreszcie, jako środek wewnętrzny, szklankę tegoż odwaru na czczo choremu. Funt takiego odwaru sporządza się z uncyi korzonków, w zatkanym i dobrze oblepionym garnku ugotowanych. Środek ten sprawia wymioty a czasem i biegunkę, i zażywa się tak długo, dopóki wymioty nie ustaną, co zazwyczaj dopiéro trzeciego albo czwartego dnia następuje, Ustanie wymiotów jest oznaką wytępienia jadu i ocalenia chorego. Dla ostrożności daje się choremu dziewiątego dnia jeszcze szklankę, a jeżeli i wtedy wymioty się nie odnowią, już jest chory zupełnie wyleczony. Środek ten zdaje się być bardzo upowszechniony pomiędzy ludem podolskim; używają go bowiem także dla bydła, jeźli, jak się to nieraz zdarza, zostanie od wściekłych zwierząt pokąsane.

Koń czerkieski. Przed kilką miesiącami rozpowiadano po wszystkich publicznych pismach, iż w Warszawie jakiś czerkieski książę, dawszy swojemu pułkownikowi policzek, umknął w towarzystwie dwu osób, z których jedną był bliski krewny jego a drugą służący. Pędząc koło jednego posterunku kozaków, postrzegli uciekający iż 6 — 8 ludzi rzuciło się na koń i puściło w pogoń za nimi. To się im śmiesznością zdało; żaden bowiem jeszcze Czerkies kilku kozakom pojmać się nie dał. Tak w kilku godzinach dziesięć mil upędzili. Goniący kozacy przybywszy do drugiego posterunku i będąc znużeni, pozostali dla wytchnienia, a drudzy w ich miejscu daléj zbiegów gonić zaczęli. Świeże konie ścigających kozaków przemogły przynajmniéj o tyle konie czerkieskie, iż odtąd równym cwałem za nimi gnały. Przy trzecim posterunku, po upędzonych znowu dziesięciu milach, puścili się kozacy na świéżych koniach za Czerkiesami, i zaczęli uciekających już coraz bliżej doganiać. Lecz czerkieskie latawcy przeleciały 30milową przestrzeń od Warszawy aż do pogranicznego pruskiego miasta *Brodnica* w 12 godzinach i stanęły tam walcząc już z kozakami. Tuż przed miastem zostali obaj towarzysze zbiega zabici; sam tylko czerkieski książę dopadł szczęśliwie do miasta, gdzie jeszcze na rynku przed nacierającymi nań kozakami bronić się musiał. Jednak tameczni mieszkańcy, oburzeni tym gwałtem, odpędzili kozaków, którzy zbrojną ręką przeszli granicę, a zbiegły Czerkies dzięki swemu koniowi został ocalonym. Szlachetne to źwierzę ubiegło 30 mil w 12 godzinach, i chwili nie spoczawszy i bez żadnego pożywienia. Dawano Czerkiesowi 1000 talarów za jego konia, lecz niechciał się z nim rozstać i do dziśdnia go posiada. Przed niedawnym czasem przybył tenże kaukazki jeździec z biegunem swoim do Gdańska. Mieszka w *Hotel de Thorn*, i może być łatwo po swojej oryjentalnej fizyjonomii poznany. Jego mały niepokaźny siwosz ściąga powszechną uwagę na siebie. Zbiegły książę myśli się teraz udać do Anglii; żadne jednak pieniądze nie mogą go skłonić do opuszczenia przyjaciela, który mu życie zbawił.

Mówiący kanarek. Londyn ma teraz osobliwego artystę: kanarka który mówić umié! Dziennik »*Morning Post*« donosi o tém rzadkiem zjawisku: »Wielki bazar nowości, który ma być otwartym w Chelsea-College-Garden, będzie między innemi dziwami zawiérać także kanarka, który bardzo wyraźnie mówi i jest przez właścicielkę przedsiębiorcom tegoż bazaru na wystawę pożyczonym. Ptaszek ten wymawia wyraźnie następujące słowa: »O, piękna, dobra, luba księżniczko! O, dobra, piękna królowo! Obyście ty i książę Albert — szczęśliwi byli!« Dotąd tylko królewska rodzina i kilka poufnych przyjaciółek właścicielki tego kanarka, miały to szczęście go słyszeć. Teraz dopiéro dała się właścicielka namówić, że mu na korzyść ubogich produkować się pozwoliła. Ofiarowano jéj nawet znaczne ceny za tę czarodziejską ptaszynę, lecz nie może się z nią rozstać za nic w świecie.

Nowy system telegrafów, jest teraz podług doniesień pisma »*Revue de Paris*« najważniejszym przedmiotem ciekawości uczonych i dyplomatów. Ta nowa machina, która przez dzień i noc jest w ruchu, ma oprócz wielu innych zalet tę korzyść, iż wszystkie nią udzielane depesze dochodzą przynajmniéj dziesięć razy prędzéj niż za pomocą dotychczasowych przyrządzeń. W ogólności jest ten nowy telegraf w stanie 45,000 słów expedyjować! W nocy bywa on oświetlany ruchomym i nieruchomym ogniem, który nadzwyczajnie pięknym blaskiem upromienia szczyty otaczających budynków. Wynalezcą téj nowej machiny jest p. Evremont Gonon.

Słonie w pługu. W angielskich prowincyjach wschodnich Indyjów zaczynają od kilku lat używać słoni do roboty w polu. Sześć tysięcy lat musiało minąć nim ludzie wpadli na myśl korzystać z niezmiernej siły, pojętności i łagodności tych źwierząt w inny sposób jak tylko do dźwigania ciężarów. Jeden słoń zastępuje 20 wołów a kosztuje w Ceylonie tylko 80 do 100 talarów.

Kosztowny tulipan. Jeszcze przed kilką laty, między innemi kwiatowémi osobliwościami, wypielęgnowano w Harlem czarny jak węgiel tulipan i sprzedano go za cenę 10,000 franków do Anglii, gdzie jako »Tulipan Othello« królowéj Wiktoryi w darze ofiarowany został.

Powinność. Jeden z najwprawniejszych katów w Anglii, w napadzie splinu sam siebie powiesił. Urzędnik mający opatrzyć trupa, zawyrokował: iż to nie było samobójstwem, gdyż ten człowiek umarł pełniąc powinność swoję.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Frańciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.